NUMER 25. DNIA 30. CZERWCA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

MIKOŁAJ REJ WE LWOWIE.

U schyłku swojego żywota, wczesną wiosną roku 1566 zjawił się autor „Zwierciadła“ na bruku lwowskim i to jako oskarżyciel w sprawie zamierzonego morderstwa na osobie hetmana Mikołaja Sieniawskiego. Dzięki tej sensacyjnej, a tajemniczej aferze znalazło się nazwisko Mikołaja Reja raz jeden jedyny w aktach radzieckich lwowskich. Pomimo bowiem dwuletniego pobytu we Lwowie w swojej młodości, mimo długoletniego pożycia na Rusi na dworze Mikołaja Sieniawskiego, nie znalazł się snać Mikołaj Rej w bliższym stosunku do władzy i aktów ratusza lwowskiego. Nie odszukał go tam więcej razy nawet gorliwy badacz ksiąg radzieckich p. Władysław Łoziński*) i widocznie zniechęcony wspomniał o tym pobycie ojca literatury naszej we Lwowie tylko w krótkiej wzmiance.

W tem zbiegowisku różnych narodowości, jakim był Lwów ówczesny, żyli między innymi i kupczyli na wielką skalę niejaki Iwanaszko, Wołoszyn, kupiec oraz właściciel ziemi w Kotnarze na Wołoszczyźnie i Jani Paczo, Grek z Krety rodem, który tu przybył ze słynnym Konstantynem Korniaktem, a był jego powiernikiem, faktorem i sekretarzem. Między Iwanaszkiem a Janim Paczo istniały rozliczne stosunki handlowe, a poza nimi i inne może jeszcze, tajemniczej natury, które obu wspólników zawiodły do więzienia w lochach ratusza.

W tym samym bowiem czasie uknuto spisek na życie hetmana Mikołaja Sieniawskiego, w ten sposób, że zamierzano go otruć wraz z całą rodziną i dwoma braćmi. Co było powodem zamachu zbrodniczego i jakie jego bliższe okoliczności, niewiadomo. Mikołaj Sieniawski był wówczas najpotężniejszą postacią w całej Polsce. Niestrudzony a wielki wojownik trzymał w ryzach Tatarów, wywierał przemożny wpływ na sprawy wołoskie, osadził na tronie hospodarskim Wojewodę Aleksandra, czyniąc go hołdownikiem Polski. Być tedy może, że polityka na dworze wołoskim pożądała śmierci wielkiego człowieka, śmierci, którą mu miano podać za pośrednictwem trucizny. Podejrzenie padło na Iwanaszkę i Janiego Paczo, których na mocy dekretu królewskiego osadzono w lochach ratusza lwowskiego i oddano pod sąd, złożony w połowie ze szlachty, w połowie z mieszczan, ponieważ strona powodowa t. j. Sieniawski nie podlegał juryzdykcji miejskiej. Siedząc w więzieniu, załatwiał sobie Jani Paczo dalej swoje sprawy handlowe, zeznawał różne akta prawne, jak o tem świadczą księgi radzieckie i czekał wyroku.

Zastępstwo Sieniawskiego w tej sprawie objął jego dawny dworzanin, a do ostatka widać przyjaciel i zaufany hetmana, Mikołaj Rej, znany już naonczas powszechnie, zamożny, syt chwały i uznania. On to razem ze szlachcicem Stanisławem Węgleńskim stanął na wiosnę roku 1566 na ratuszu lwowskim, przed sądem dla tej sprawy, któremu przewodniczył Adam Siemuszowski, podstarości lwowski, a jako ławnicy zasiadali burmistrz Lwowa razem z rajcami, oraz szlachta:

*) Por.: Łoziński, Patrycjat, str. 319.

Wacław Dzieduszycki, Mikołaj i Paweł Strzepkowscy i Feliks Brozina*).

Sprawa przedstawiała się w sposób następujący: Iwanaszko wyszedłszy obronną ręką z afery, obwinił o zamiar otrucia Sieniawskiego, wspólnika swojego, Janiego Paczo. Ten ostatni wypierał się winy, a ponieważ nie było żadnych dowodów, nie pozostawało, według procedury prawa polskiego, nic innego, jak tylko przysięga. Jakoż Mikołaj Rej przedłożył sądowi tekst przysięgi, najprawdopodobniej przez siebie samego ułożony i zażądał, aby Jani Paczo razem z sześciu „towarzyszami przysięgi“ oczyścił się z zarzuconej mu winy.

Wobec tego wyszedł Jani Paczo na rynek, przed ratusz, twarzą obrócił się do słońca, ukląkł i z podniesioną prawicą przysiągł, jak następuje:

„Ja Jani, Grek, przysięgam Panu Bogu, Pannie Mariey y wszem świętym, żem w tym niewinien, w czym mnie oskarżył Iwanaszko — do Pana Wojewody Ruskiego i braci Jego i domu Ichm. Sieniawskiego, anim jako żyw na zdrowie Jegomości z nikim zmowy nie miał, ani się porozumiewał, ani o tej truciźnie na Jegomości i Jegomości krewne nie radził, nie pomagał, anim przed oskarżeniem o tym wiedział, anim się do tego przyczyniał żadnym nakładem swoim — tak mnie wspomóż Pan Bóg Wszechmogący Syn i Duch św. Amen“.

Poczem z tym samym ceremoniałem przysięgli przyjaciele Janiego, jako stwierdzają, że Jani przysiągł prawdziwie.

Wobec tego wypuszczono obu obwinionych natychmiast z więzienia, a Mikołaj Rej razem ze Stanisławem Węgleńskim złożyli imieniem Sieniawskiego oświadczenie, że do Janiego Paczo nie mają pretensji, Iwanaszko zaś zobowiązał się zaczekać we Lwowie na zapowiedziany niebawem przyjazd Sieniawskiego, celem zapewne dalszych wyjaśnień.

Tak się zakończyła afera, upamiętniona współudziałem Mikołaja Reja. Niedługo już potem żył autor „Zwierciadła“. W dwa lata niespełna po tej bytności we Lwowie, przeniósł się do wieczności, a za nim niebawem i jego możny przyjaciel, Mikołaj Sieniawski. *Fr. Jaw.*

*) Acta Consularia z r. 1566, str. 534.

EMILJA PLATERÓWNA.

jako folklorystka.

Emilja Platerówna, opiewana w pieśniach poetów narodowych i obcych, — przekazywana potomności w „Żywotach niewiast sławnych“, stoi obecnie, a — jak się zdaje — także stała przed oczyma swoich współczesnych tylko jako wyobrażenie niewieściego, rzeczywistego heroizmu polskiego.

Dzieje walki o niepodległość w ziemiach litewskich, ilekroć wspominają o czynach bohaterki z pod Jezioros, Prystowian, Kowna i Szawel, albo o jej dziełach wojenno-organizatorskich, mówią wprawdzie, jak 25-letnia dziewica zebrała w Dussiatach, z pośród ludu, oddział wojowników poważny, bo 400 głów liczący, jak na czele tego mężnie, acz nieszczęśliwie, potykała się z Rosjanami itd., lecz nie wyjaśniają zupełnie, gdzie się począł tak przeważny wpływ Platerówny na umysł i serca wieśniaków, że w bój za nią pociągnęli. Obecnie znalazło się źródło, fakt ten z przed lat 75 niewątpliwie tłumaczące, a jest niem niewydany dotąd, nigdy nadto nie przeznaczony do druku pamiętniczek witebszczanina, M. Marksa, urodzonego około 1815 r. Rękopis to niewielki, składa się z dwóch części: „Wspomnień dzieciństwa“[1]) i ustępu, objętością znacznie „Wspomnienia“ przechodzącego, p. t.: „Coś o gwarze białoruskiej“[2]). Z tej właśnie części wtórej podaje

[1]) Autor pisze w nich o „Legjonistach“ w Witebsku i sławnym niegdyś w jego stronach rodzinnych lekarzu i znachorze, Topolskim.

[2]) Oprócz rozdziału o „Emilji Platerównie“, część ta zawiera: 1. „Ubiór ludu, mieszczan i żydów, zabawy i tańce chłopów witebskich, ich zepsucie“. 2. „Hutornik i hutorki“. 3. „Uczeni i pisarze, zajmujący się Białorusią“. 4. „Forma i język pieśni białoruskich“. 5. „Białoruszczyzna w Wilnie“. 6. „Słowianofile rosyjscy w odniesieniu

się obecnie rozdział o „Emilji Platerównie“, zawierający z jednej strony bardzo ciekawy, nieznany bliżej żadnemu z dawniejszych bjografów szczegół z życia bohaterskiego „Kapitana 25-go pułku linjowego“ — z drugiej zaś niespodziewany zupełnie a pierwszorzędnej wagi przyczynek do historji folklorystyki polskiej na kresach z czasów około 1825 r.

Oto jego brzmienie:

„Matka moja była związana serdeczną przyjaźnią z panną Emilją Plater, młodszą od niej najmniej o lat piętnaście. „Luba Kasiu, droga Emilciu“, nie schodziły z ust ich w czasie rozmowy, gdy ta i cieleśnie i duchowo i moralnie idealna piękność przyjeżdżała do Witebska i nawiedzała moją matkę a swoją starą i wypróbowaną przyjaciółkę.

„Ostatni jej pobyt bardzo mi pamiętny. Miałem już lat bodaj jedenaście. W mieście kwaterował wówczas jakiś pułk konnej gwardji — huzarski czy ułański — dobrze nie pamiętam. Zamożna i hulaszcza młodzież wojskowa, zachwycona wdziękami panny Plater, kręciła się koło niej szalenie, a ona, znudzona trzpiotalską natarczywością i nie zawsze zgrabnemi nadskakiwaniami tych, jak ich w oczy nazywała, amorków północnych *(les petits amours du nord)*, stroniła, o ile mogła, od balów i resursy, wymawiając się zwykle niby jaką dolegliwością i uciekając się do mojej matki a swej lubej Kasi na przyjacielskie uściski i pogadanki.

„Pierwsza ona — bodaj iż się nie mylę — z zapałem, właściwym czułym i szlachetnym sercom, oddała się duszą ludowi białoruskiemu, badała jego biedę i współczuła jej, starając się — według możności — ulżyć ją; zbierała i śpiewała jego piosenki, płaciła hojnie za ich dostarczenie i próbowała pióra w ich naśladowaniu. Na fortepianie umiała najdobitniej oddać i skoczność i tęsknotę motywów ludowych i nawet timbry sopranużulejki i basu-dudy.

„Raz nawet uściskami i całusami zaprosiła matkę moją tańczyć z nią lepietuchę[3]), a ta nie mogła odmówić kaprysowi samowolnej, lecz miłej Emilci. Ojciec, ja i chłopak-skrzypek śmieliśmy się do rozpuku, patrząc, jak się wartko zwijały i podskakiwały tancerki.

— „Nu, panienka, nu, dziawucha! Dy jeszczo i jakaja dziawucha, — załataja dziawucha!“ — mruczał grajek zachwycony.

— „Ale, droga Kasiu, czy wiesz, żem się nauczyła hałasić?“

„Hałasiać — opłakują (po rosyjsku: pricziti-wajut lub prigawariwajut) tylko dzieci na mogiłach swych rodziców, żony nad swymi mężami, matki nad trupami dzieci lub przy odprawie synów w „niekruty“ (rekruty). Śpiew to rzewny, tęskny, płaczliwy, wywołany bolem serdecznym, improwizowany do okoliczności, zakrawający na wycie i niepodobny do naśladowania. Dla tej jednak, co ukochała lud z całego serca, nic nie było niepodobnem i dźwięcznym głosem zaczęła:

„Awoj, awoj, dziaciuk ty moj!
Nie na radość, nie na szczaście ty radziv sia“.

I wszystkie cierpienia, wszystkie tortury życia chłopka białoruskiego były tu szczegółowo wyliczone, dosadnie określone i głęboko odczute.

„Ojciec mój słuchał, stojąc z założonemi po napoleońsku rękami, a gdy skończyła, wstrząsnął głową i westchnął.

— „Emilciu, Aniołku! cóż to za piosenka! aż mi rzewno!“ — ściskając ją, zawołała matka.

„Grajek rękami łzy ocierał, a ja stałem jak osłupiały.

„Czy nie podsłuchał gdzie Mickiewicz takiego „awoj“, bo jego „Lilje“ białoruskiej pochodzistości:

„Spadniczuczka szach, dy szach,
A paniuchnu biareć strach...“ [4])

„W parę lat potem p. Wolf, nauczyciel niemieckiego języka w gimnazjum witebskiem, były poprzednio guwerner panny Emilji, wpadł do nas z zabójczą wiadomością, iż żyć przestała. Płakał poczciwy Niemiec, — płakaliśmy wszyscy.

„W kilka dni w kościele św. Barbary za Dźwiną odprawione było nabożeństwo żałobne. Msza od-

do języka białoruskiego“. 7. „Rodowód białoruski. Opowiadanie ostatniego hurtownika, Filipa Smuryjego“.

[3]) Lepietucha, obok miacielichy, koczerbichy, paduszeczki i lawonichy, jeden z tańców ludu białoruskiego, polegający na grackiem rzucaniu się w różne strony, dziarskiem tupaniu nogami, klaskaniu w dłonie i wykrzykiwaniu kiedy niekiedy: *hu ha!*

[4]) Autor mylnie tutaj odnosi styl t. z. „hałasiania“ do „Lilji“, za typowy bowiem okaz naśladownictwa tego rodzaju poezji ludowej u Mickiewicza należałoby uważać tylko „Kurhanek Maryli“, niesłusznie zatytułowany przez poetę „romansem“. Nie trzeba się też dziwić, że dotąd nie udało się odszukać źródła tego „śpiewu litewskiego“, bo — jak wynika ze słów Marksa, — „narzekania“ na Biało-Rusi to — improwizacje, zależne od miejsca i okoliczności.

była się jako tako, lecz nie tak poszły egzekwje. Ks. Jasieński rozrzewnił się, aż zatrzymywał się kilka razy, łkając z wszystkimi obecnymi".

Tak więc zyskujemy jedno więcej nazwisko w poczcie tych, co stworzyli nową gałąź w piśmiennictwie i kulturze polskiej, noszącą tytuł: „Zajęcie się twórczością ludową w XIX. wieku". Prawda, że pod względem lat Platerówna nie może być zaliczona do najwcześniejszych pionierów na tem polu u nas, mimo to jednak godnie, przynajmniej z tytułu usiłowań swoich i zamiłowania, stanąć może obok współczesnych sobie, polskich folklorystów białoruskich, jak: Ćwiecińskiego, Aleksandra Zbrożka, Tadeusza Łady Zabłockiego, Romualda Zieńkiewicza i Stanisława Markianowicza z jednej strony, z drugiej zaś obok Jana Czeczota, Wincentego Marcinkiewicza, Konstantego Kalinowskiego i innych.

W. Bruchnalski.

(Z ostatniego zeszytu „Ludu").

FELIKS GWIŻDŻ

MODLITWA

ODSUŃ ODEMNIE SPOKOJNOŚĆ ŻYWOTA,
ODSUŃ, O CHRYSTE, DALEKO — DALEKO — —
NIECHAJ MI SERCE WYŻERA TĘSKNOTA,
UCZYŃ, BYM STAŁ SIĘ WCIĄŻ PŁYNĄCĄ RZEKĄ...

ODBIERZ MI WSZYSTKO, CO MAM, CO MIEĆ MOGĘ — —
A DAJ MI DŁUGĄ, KAMIENISTĄ DROGĘ,
CIERNIEM POROSŁĄ, WYSYPANĄ ŻWIREM
I CEL TEJ DROGI ZASŁONIĘTY KIREM...

A GDY JUŻ BĘDĘ DOBIEGAŁ DO CELU,
JAK ZADŻUMIONY OKRĘT DO PRZYSTANI,
TO TY GO DALEJ POSUŃ, PRZYJACIELU,
CIERNIEM MIĘ DARZĄC, CO NAJGŁĘBIEJ ZRANI...

MĘSKIE FEMINISTKI.

W żadnym kraju ruch kobiecy nie jest tak silnym i powszechnym, jak w Anglji, — w żadnym też kraju prawa majątkowe kobiet nie są tak dokładne i zupełne, jak w Anglji, gdzie trzeba umyślnego kontraktu małżeńskiego, by oddać mężowi kontrolę nad majątkiem, a nawet nad dochodami żony.

I rzecz dziwna, że kobieta angielska, która już od ćwierci wieku ma wszystkie prawa majątkowe, która, będąc zamężną, ma swego prawnika i swego zarządcę, swój bank i swe „spekulacje", odmienne od tych, jakim się oddaje jej mąż, że ta, powtarzamy, kobieta angielska gra

w życiu gospodarczem kraju daleko mniejszą rolę, aniżeli naprzykład kobieta francuska. We Francji widzimy kobiety organizatorki w handlu i przemyśle, kobiety, na barkach których spoczywają „interesy“ rozmiarów olbrzymich. Już w drobnem mieszczaństwie widzimy kobiety, prowadzące sklepik lub warsztat, podczas gdy mężowie ich część dnia przepędzają w kawiarni. W wielkim handlu i przemyśle kobieta nie występuje tam, gdzie trzeba wiadomości technicznych; nie zna ona ani górnictwa, ani konstrukcji dróg lub mostów, ani nawet szczegółów handlu międzynarodowego. Natomiast, gdzie idzie o zarząd wewnętrzny, o „rękę“ sprężystą, o umiejętność rozumnego i oszczędnego rozporządzania siłą zespoloną — tam kobiety odgrywają rolę pierwszorzędną. To one, same pozbawione praw majątkowych, nietylko zarządzają majątkiem, przy którym prawo stawia swe „nie pozwalam“, ale nadto swym talentem organizacyjnym i swą inicjatywą odgrywają rolę twórczą w gospodarce narodowej.

Czytelnik powie nam, że w starożytności niewolnicy pozbawieni praw, także zarządzali majątkami swych panów. Ale niewolnicy albo przedtem byli sami panami, albo też byli kształceni na fachowych zarządców. We Francji zaś kobiety nie otrzymują wcale wykształcenia fachowego. Tylko jako „panie domu“ przywłaszczają sobie powoli różne zakresy działalności w „domu“, rozszerzają swą, że się tak wyrazimy, juryzdykcję i... rządzą z umiejętnością taką, jakiej nie wykazały kobiety angielskie, zaopatrzone w liczne paragrafy prawne.

Natomiast kobiety angielskie są więcej wszechstronne. We Francji, poza „domem“ kobieta odznaczyła się jeszcze na polu literatury pięknej i poezji; w Anglji widzimy pracę kobiecą wszędzie: i na polu naukowem i na polu pracy społecznej. Na polu badań historycznych liczba kobiet autorek jest w Anglji nader poważną; nie mówimy tu o tych, które „sklejają“ książki t. j. kompilują, ale o pracowniczkach sumiennych, które pracują z „pierwszej ręki“, ze źródeł. Wymienimy tu kilka nazwisk, jak pani Green, pani Katarzyny Nargate, jak panny Sighel, panny Leonhardt i wielu innych. Na polu badań społecznych liczba kobiet autorek jest może większą jeszcze, bo mają dostęp do niektórych ciał samorządu, jak do szkolnictwa i opieki nad biednymi. Kobieta angielska jest więc uniwersalną; jakkolwiek nie stoi wyżej od kobiety francuskiej, ma umysł szerszy. Podczas gdy francuska wykazała umiejętność rządzenia, wychodząc ze swego położenia „Pani domu“, kobieta angielska nie zna granic dla swej roli pracowniczki.

Jak we Francji, tak i w Anglji istnieje jeszcze bardziej wyłączny ruch kobiecy polityczny, t. j. zdążający do równouprawnienia politycznego. We Francji ruch ten dotychczas nie był bardzo poważnym, podczas gdy w Anglji, gdzie ruch kobiecy ma charakter uniwersalny, i feminizm polityczny ma powagę oraz autorytet. W parlamencie nieraz już stawiano wniosek nadania prawa wyborczego kobietom, a były prezydent ministrów, jakkolwiek konserwatysta, pan Artur Balfour, oświadczył się prywatnie za wnioskiem. Słowem kwestja prawa wyborczego dla kobiet w Anglji nie jest wcale kwestją partyjną; z jednej strony część zachowawców jest po stronie reformy wyborczej, a z drugiej strony licznym jest zastęp liberałów, wrogich równouprawnieniu politycznemu kobiet.

Między ostatnimi jest pan Asquith, jeden z bardziej znanych adwokatów angielskich, a dziś minister finansów. Przeciw więc Asquithowi skierowaną została obecnie agitacja tych feministek niecierpliwych, które w walce z rodem męskim naśladują taktykę najgorszą, do której uciekają się czasami mężczyźni w polityce.

Więc feministki zaczęły od wrzawy i krzyków na wszystkich zgromadzeniach publicznych, na których przemawia Asquith. Ale nie wiele wskórano tą taktyką, bo amazonki krzykliwe były niemiłosiernie wyrzucane z sali zgromadzeń. Postanowiono więc „zohydzić“ Asquitha w oczach narodu i urządzać mu demonstracje wrogie przed jego domem prywatnym — rodzaj używanych na kontynencie „muzyk kocich“. W tym celu gromada kobiet pod przewodnictwem Miss Billington udała się z chorągwiami i bębnami na plas Cavendish, gdzie znajduje się dom mieszkalny Asquitha.

Procesji zastąpił drogę policjant, upominając manifestantki, że dopuszczają się „wrzawy“ bezprawnej, której on dopuścić nie może. W odpowiedzi na to miss Billington wymierzyła policjantowi trzy policzki i kilka uderzeń parasolką. Panna Billington oraz trzy towarzyszki zostały zaaresztowane. W więzieniu policyjnem towarzyszki, z wyjątkiem panny Billington, wyraziły skruchę i obietnicę zaprzestania manifestacji na

przyszłość. Panna Billington oświadczyła, że nie uznaje praw, ułożonych przez mężczyzn, z wyjątkiem... przywileju policzkowania, który mężczyźni samym sobie odebrali.

Przed sędzią policyjnym miss Billington trzymała się tej samej taktyki odmawiania posłuszeństwa prawom „męskim“. Skazana na zapłacenie 10 funtów sterlingów (około 250 koron), panna Billington oświadczyła, że nie uznaje ani sądu, ani wyroku zresztą łagodnego. Więc pozostaje jej uledz przemocy i w zamian za karę pieniężną odsiedzieć dwa miesiące więzienia.

Na szczęście dla sprawy kobiecej, ma ona orędowników poważniejszych, którzy walczą bronią ostrzejszą, niż policzki i muzyki kocie.

Stanisław Mendelson.

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy).

Ten ośmioletni dzieciak, po raz już drugi zwiedzający więzienie, zna wszelkie zbrodnie, sprowadzające tu ludzi, wie, że jego matka kradła, wie, że tamci fałszowali pieniądze, wie, że ta dziewczyna zabiła swe dziecko, tamta otruła kochanka; niema tajników zbrodni dla niego, a cóż on wie z piękna tego życia? A ta jasnowłosa Izabelka, która mi się codzień wiesza u sukni i prosi: „a czy dziś pani ma cukierek?“ — czem będzie w przyszłości, czy ten cukierek nie będzie jedynym promykiem jej smutnego życia?... A ta moja malutka Irenka, ta więzienna dziecina, umęczona duszyczka jeszcze przed wejściem na świat, co ją na nim czeka?...

Wielka poetka nasza woła: „I gdybym była Bogiem, to każdemu dałabym spokój i światło i zdrowie“.

Gdybym była prawodawcą — mówię sobie — nie dałabym dzieciom oddychać zatrutem powietrzem więziennem, nie dozwoliłabym kobiecie, mającej być matką, przestąpić tego progu; dla pierwszych musiałyby być jasne słoneczne ochrony, gdzieby im nikt nie rzekł słowa: złodziej, fałszerz, dzieciobójczyni; gdzieby musieli ukochać piękno życia. Dla drugich przytułki, w których by pozostawały póty, aż dzieci mogłyby się obejść bez pokarmu naturalnego i wtedy dopiero matka mogłaby być sądzoną. Może wtedy stworzyliby inne, lepsze istnienie dla tych istot, których całą zbrodnią, grzechem pierworodnym jest to, że na świat przyszły.

Ale Konopnicka nie jest Bogiem; światu szczęścia dać nie może, a ja prawodawcą nie zostanę, paproć świętojańska też dla mnie nie zakwitnie, nie da mi skarbów dla urzeczywistnienia mych pragnień; gdybym przynajmniej miała w sobie moc boską i serca ludzkie wstrząsnąć mogła obrazem niedoli strasznej, gorszej, niż widok rzezi niewiniątek, alem ja słaba, uboga, o Boże!

2. maja. Świeci słońce jasne i ciepłem swem serdecznem tuli ziemię, rozsiewa światło i wesele wokoło, a na ziemi mrok. Dziś mała Irenka została sierotą; smutna nazwa, smutniej, niż kiedy, brzmi tu w więzieniu. Dziś na spacerze słyszałam, jak kobiety pracujące na podwórzu jednozgodnie żałowały zmarłej, przyznając jej wielkie zalety.

Rozmawiałam z Wilską; dziwny ma urok ta dziewczyna, istna wiochna. Wiem, że pochodzi z Łodzi, że pracowała w fabryce, że na dwa lata jest zasądzoną, za dwa miesiące stąd odejdzie; nie śmiem jednak zapytać jej, co zrobiła, by tu trafić. Jej dziwnie czyste, głębokie oczy, miałyżby ohydnie kłamać? — wolę myśleć, iż jakie nieporozumienie, jaka pomyłka sprowadziła ją tu. „Trzeba się z wolą Boską zawsze zgadzać“ — mówiła do mnie dziś, gdym się użalała nad niedolą zmarłej, — „tak już Bóg chciał, by ona tu była“; czyżby Bóg naprawdę chciał, by i ona tu przyszła niewinnie? czyżby też chciał, by kradła, lub inne przestępstwo popełniła? W takim razie dziwny Bóg, który ludzi na złoczyńców i zbrodniarzy przeznacza i czemu tym biednym istotom choć na kazaniu nie mówi się o tem, iż z woli Bożej stworzeni jesteśmy do pełnienia dobra na świecie, że zło, które popełniamy, nie zgadza się

z wolą Boga Miłości. Gdybym była reformatorem, zburzyłabym wszelkie więzienia, a natomiast dźwignęłabym szkoły i pracownie; w pierwszych niechby ludzie uczyli się, w drugich pracowali na swój byt; możeby wtedy zrozumieli, że Bóg nie może chcieć, by człowiek życie pędził w więzieniu, a drugi był jego stróżem i katem.

P. Julja była dziś u mnie i opowiadała mi o ostatnich chwilach zmarłej.

— Powiedziano mi dziś rano, że już kona; szłam do szpitala; leżała sztywna z zamkniętemi oczyma. Sądziłam, iż skonała, ale ona nagle drgnęła, otworzyła oczy i wpatrzyła się we mnie... „To pani?“ — rzekła — „umierałam już, ale Boga prosiłam, bym się mogła pani doczekać, chciałabym widzieć moją Irenkę, a ona u pani?...“

Posłałam pielęgniarkę szpitalną po Wilską z dzieckiem; przyniesiono je, podałam matce. „Wierzcie, — rzekłam — że dziecku krzywda się nie dzieje, jest nakarmione, wykąpane, czyściutkie...“

Spojrzała na mnie z wdzięcznością, potem przygarnęła dziecko do piersi i cicho zajęczała: „Ale co z niego będzie, co potem będzie?“ — były to ostatnie słowa. Skonała z dzieckiem przytulonem do piersi.

20. maja. Upływają dnie i tygodnie, a w życiu mem żadnych zmian, coraz bardziej ogarnia mię głuchy ból; mam żal do słońca, że świeci tak jasno, do wiosny, że przyszła tak rychło, do kwiatów, które kędyś kwitną, że darzą innych swą barwą i wonią. Ze świata nic... nic... głucho zupełnie.

Dzisiaj wieczorem, po odejściu strażnika Kudliga, słyszałam, jak rozmawiali więźniowie; mają być wolni trzej, ci, co są naprzeciw mnie w kurytarzu, Kasper też; nie będzie śpiewaka. Marnym jest człowiek; nie ucieszyła mię ta wieść, jakby należało, bo w duszy jęk powstał: a ja kiedy ujrzę świat?

„Żegnajcie towarzysze!“ — wołali ze swych cel — „dziś w nocy będziemy wolni!“

— Szczęśliwi — odrzekł jakiś głos, drgający bólem.

— Przyjdzie i na was kolej, bracia, i wam dzień swobody zaświta — mówił baryton Kaspra — odwagi i spokoju!

O tak, odwagi i spokoju!

21. maja. Cicho o trzeciej w nocy rozległy się stąpania na kurytarzu; otwarto drzwi trzech cel i trzech ludzi opuściło mury więzienne. Zwalczyłam o tyle swój żal i tęsknotę do swobody, iż całą duszą cieszyłam się z ich uwolnienia i życzyłam, by silni wiarą w swe przekonania, dalej umieli iść wytkniętą drogą.

Dziś mi jednak smutno; najweselsi to byli z pomiędzy wszystkich więźniów naszego korytarza. Władek nie wiele sobie robił ze strażników i nieraz rzucił poprzez zamknięte drzwi jaki wesoły żart, zakomunikował wieść, zasłyszaną ze świata, Michał gwizdał przeraźliwie, ilekroć strażnik miał zatarg z jakim towarzyszem-więźniem, a piękny głos Kaspra sprawiał mi ogromną przyjemność.

Żegnajcie wesołe, dzielne chłopaki.

25. maja. Od kilku dni nie wychodziłam wcale na podwórze, nie jestem chorą, lecz dziwnie rozstrojoną; więzienny nastrój widocznie. Nie mam sił chodzić po podwórzu, patrzeć na mury i policjantów. Prosiłam p. Julję, by mi kupiła parę wiosennych kwiatów; pierwszy raz odmówiła mi.

— Trzeba uzyskać pozwolenie naczelnika na to, — rzekła — niech go pani o to poprosi, z pewnością nie odmówi.

W takim razie obejdę się, prosić nie chcę, mimo, że ogromnie pragnęłabym widzieć bodaj kwiat koniczyny. Tem bardziej nie chcę o nic prosić, iż wiem, że mi nie dają rzeczy, które dla mnie przyszły. Przypadkiem słyszałam dziś rano przez otwarte okno, jak jeden ze strażników mówił do drugiego:

— Dla numeru 42 przyszły rzeczy, ale oddać ich nie wolno.

— Dla czego? — spytał drugi — to tej kobiety, ona taka cicha, spokojna?

— Nie wiem, — odparł pierwszy — naczalstwo nie pozwala.

— Co to może znaczyć? — mówił pierwszy.

Odeszli i nie słyszałam dalszej rozmowy. Ciekawam również, czy to naczelnik nie pozwala oddać mi rzeczy i dlaczego? Obawiam się, by w nich nie było jakich niedozwolonych papierów, może list jaki? i stąd ten zakaz.

Po uwolnieniu dowiedziałam się, iż zakaz pochodził od p. Zielonki; nie bardzo pojmuję, ale sądzę, iż dlatego, by mię zmusić do wyznań. Nie mogłam go zadowolić, choćby dla tej tylko przyczyny, iż wyznawać nic nie miałam, a ile mi to niepokoju sprawiło, Bóg tylko wie.

29. maja. Wezwano mię dziś do kancelarji; idąc, sądziłam, iż będą jakieś badania, tembardziej,

iż wchodząc, w głębi dojrzałam Zielonkę. Żandarm cofnął się w głąb mieszkania, mnie zaś zatrzymał urzędnik miejscowy i wskazując leżący tłomok, rzekł, iż mam odebrać przysłane mi rzeczy. Zapytałam, kto je tu przywiózł, odpowiedziano mi, iż nic o tem nie wiedzą; pisarz przejrzał wszystkie kawałki bielizny i suknie, następnie oddano mi to wszystko. Wieczorem Makiewicz zapytał mię, czy mam już zawiadomienie, jak długo pozostanę w P.; na mą odpowiedź przeczącą, zdziwił się mocno.

— Sądziłem, — rzekł — iż pani miała dziś badanie, gdyż żandarm był i widziałem panią idącą do kancelarji.

Powiedziałam mu, o co szło; wydał mi się zdziwionym, iż Zielonka nic mi nie powiedział.

4. czerwca. Dziś, wychodząc z kaplicy, zapytałam p. Julji, czem się to dzieje, iż więźniowie złoczyńcy tacy są wynędzniali, wtedy, gdy kobiety na ogół mają wygląd zdrowy i czerstwy?

— To zupełnie naturalna rzecz — odrzekła mi, — kobiety wprawdzie dostają to samo pożywienie co i mężczyźni, ale w większej ilości, dbają o nie o wiele więcej tak przez litość, iż są to słabe istoty, jak również i dla tego, iż one pracują, wtedy gdy mężczyźni przeważnie nic nie robią.

— Cóż robią kobiety?

— Bardzo wiele, szyją bieliznę dla więźniów, piorą, przygotowują jadło dla kucharza, skrobią kartofle, robią kluski, a niemała to praca, gdy się zważy, że mamy tu przeszło tysiąc ludzi, szorują statki; będąc ciągle zajęte, nie są jednak przeciążone pracą, mają ruch i o wiele więcej świeżego powietrza, niż więźniowie mężczyźni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dr. Klemens Bąkowski: Zamek krakowski. Przewodnik do zwiedzania, z dodatkami wspomnień historycznych, z planami i ilustracjami. — Kraków 1906.

Książeczka ta, rozmiarami niewielka, jest teraz bardzo pożyteczną, zwłaszcza od chwili, kiedy zamek krakowski został opróżniony przez wojsko. Przedstawia bowiem w jednej swej części historję tego zamku, a w drugiej opisuje pokoje siedziby królewskiej; a choć ten opis pod niejednym względem szwankuje, to jednak autor winy w tym wypadku nie ponosi — ponieważ rzecz ta jest obecnie jeszcze niemożliwą.

Zaletą zaś jego jest dość znaczna przejrzystość. *Br. P.*

Wykłady o filozofji współczesnej W. M. Kozłowskiego. Lwów, 1906. Księgarnia B. Połonieckiego.

Możnaby nazwać tę książkę zwierciadłem duszy współczesnej. Rozumiejąc tę duszę i wszystkie jej bardzo skomplikowane składniki, rozebrał autor szczegółowo te doktryny filozoficzne, które na współczesną umysłowość decydujący wpływ wywarły. Znajdujemy więc tu, ujętą w przystępną a naukową formę wykładów uniwersyteckich, niejako historję filozofji współczesnej, począwszy od Saint Simona, którego autor uważa za inicjatora głównych prądów filozoficznych, obiegających ludzkość dzisiejszą. Cel analizy duszy współczesnej przyświecał naszemu myślicielowi do tego stopnia, że z systemów filozoficznych te tylko głównie w swojej książce omówił, które zdaniem jego znalazły oddźwięk w duszy zbiorowej społeczeństwa. Stąd też dla umysłów refleksyjnych, zastanawiających się chętnie nad zjawiskami i zagadnieniami doby współczesnej jest dzieło p. Kozłowskiego wskaźnikiem teoretycznym i naukowym, który codzienne nawet zjawiska życiowe uzasadnia i znajduje im podstawy w dziełach twórców nowej filozofji.

Dla młodzieży uniwersyteckiej jest to podręcznik bardzo cenny, na który zresztą złożyły się wykłady autora miane przez niego w murach uniwersytetu lwowskiego, niestety tylko w charakterze gościa.

Książki dla wszystkich. Do najbardziej pożytecznych wydawnictw popularnych należy zaliczyć coraz szersze kręgi ogarniającą bibljoteczkę „książek dla wszystkich“ M. Arcta w Warszawie. Bibljoteczka ta zawiera książki pisane popularnie, jasno, przystępnie, z najrozmaitszych dziedzin, nie wyłączając i literatury pięknej, którą reprezentują starsze i młodsze nazwiska. Świeżo puścił w świat p. Arct nowe tomiki swego wydawnictwa, które tak różnorodnością tematów, jakoteż nazwiskami autorów bezwątpienia wzbudzają zainteresowanie. Oto ich tytuły:

Mikołaj Rej jako pisarz, napisał Bronisław Chlebowski.

Adama Mickiewicza sonety i inne wiersze z czasów odesskich, objaśnił H. Galle.

Rudjard Kipling: *Z pod nieba Indji.* Nowele.

Jan Adolf Hertz: *A teraz co?* Obrazek dramatyczny.

Projekt ustawy koła przyjaciół zdrowia fizycznego i moralnego.

Teodora Męczkowska: *Szkoły mieszane (Koedukacja).*

B. Dyakowski: *Wskazówki do hodowli motyli, oraz urządzania zbiorów.*

A. Sprockhoff: *Ze świata mineralnego.*

Dr. G. Bunge: *Zatrucie alkoholem i zwyrodnienie.*

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.